

**PAMIĘĆ
I POLITYKA**

Raul Hilberg

PAMIĘĆ

I POLITYKA

Droga

historyka

Zagłady

przełożył

Jerzy Giebułtowski

POLISH
CENTER FOR
HOLOCAUST
RESEARCH
ASSOCIATION



STOWARZYSZENIE
CENTRUM
BADAN NAD
ZAGŁADĄ
ZYDÓW

Warszawa 2012

Tytuł oryginału:

The Politics of Memory: The Journey of a Holocaust Historian

Publikacja została zrealizowana dzięki dotacji Piotra Stefaniuka.

Redaktor prowadzący:

Jakub Petelewicz

Redakcja:

Beata Bińko

Korekta:

Dorota Białas

Projekt okładki i skład:

Marianna Cielecka

Copyright © 2002 by Raul Hilberg

Copyright © for the Polish edition by Stowarzyszenie Centrum Badań
nad Zagładą Żydów

Copyright © for the Polish translation by Stowarzyszenie Centrum
Badań nad Zagładą Żydów

ISBN: 978-83-63444-18-1

Wydanie pierwsze, Warszawa 2012

Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów

ul. Nowy Świat 72, pok. 120

00-330 Warszawa, POLAND

e-mail: stowarzyszenie@holocaustresearch.pl

www.holocaustresearch.pl

Spis treści

	Wprowadzenie	9
I	Recenzja	11
II	Początki	17
	Korzenie	17
	Lata młodości. Kształtowanie się osobowości	29
	Na rozdrożu	46
III	Skok na głęboką wodę	61
	Dokumenty	61
	Sztuka	72
IV	O zmaganiach	83
	Zabiegi o pracę na uczelni	83
	Droga do publikacji	94
V	Następstwa	109
	Wojna trzydziestoletnia	109
	Dyskusyjne praktyki	123
VI	Co dalej?	143
	Wydanie drugie	143
	Dziennik Adama Czerniakowa	157
	Tryptyk	169
VII	Wiedeń	175
	Indeks	181

Historia bez tragedii nie istnieje.
Wiedza jest lepsza i zdrowsza
od ignorancji.

H.G. Adler

Wprowadzenie

Znaczną część życia poświęciłem badaniom nad tematyką zdecydowanie odmienną od innych: zagładą Żydów europejskich. Zarówno znajomi, jak i obcy ludzie pytali mnie wielokrotnie, dlaczego zdecydowałem się zgłębiać to zagadnienie i z jakimi reakcjami spotykałem się w trakcie pracy. W książce tej, będącej podsumowaniem moich doświadczeń, zebrałem i rozwinąłem odpowiedzi na te pytania. Powstała w ten sposób historia osobista, aczkolwiek dotyczy ona zarazem rozmaitych zjawisk, które stanowią nieodłączną część polityki historycznej w Ameryce, Izraelu i Europie od końca lat czterdziestych do początku lat dziewięćdziesiątych XX w.

Brudnopis tej książki udostępniłem memu wieloletniemu przyjacielowi Ericowi Marderowi, będącemu od lat moim agentem literackim Theronowi Rainesowi, niedawno poznanemu Walterowi Reichowi, w którym znalazłem bratnią duszę, mojej żonie Gwendolyn, mojemu synowi Davidowi i córce Deborah. Każda z tych osób przeczytała tekst z właściwej sobie perspektywy, od każdej uzyskałem bezcenne uwagi i sugestie. Jestem im za to wszystko wdzięczny.

Recenzja

We wtorek 15 września 1992 r. zadzwonił do mnie mój agent literacki Theron Raines, człowiek światły, urodzony w Arkansas, absolwent Columbia College i Oksfordu. Raines zawsze mówi rzeczowo i jasno. Oznajmił, że w najbliższą sobotę w „New York Timesie” ukaże się recenzja mojej najnowszej książki. Podziękowałem mu za telefon, starając się przy tym brzmieć swobodnie, jakbym chciał dać do zrozumienia, że w moim wieku takie wieści nie wywołują już euforii. Niemniej byłem zadowolony. Nie miałem już wrogów zawodowych, którzy chcieliby rozerwać mnie na strzępy na łamach gazet. Mogłem więc śmiało oczekiwać na tę recenzję, i nie miałem najmniejszych powodów do obaw. Theron Raines dodał jednak: „Nie spodoba ci się ostatnie zdanie w tej recenzji”.

Tego wieczoru żona przyniosła mi kopie dwóch recenzji, które przysłał do jej biura mój wydawca z firmy Harper-Collins Aaron Asher. Jedną z nich była recenzja z „New York Timesa”. Szybko przeczytałem obie i postanowiłem odłożyć je na bok, ponieważ była u nas z wizytą córka i nie chciałem marnować wspólnie spędzanego czasu. W niedzielę wyjeżdżałem do Bostonu, gdzie zaczynałem tournée promujące książkę, córka zaś wracała do Jerozolimy. Aaron Asher był jednak zaniepokojony. Zadzwonił do mnie w czwartek i zapytał, czy należy odpowiedzieć na obie recenzje, szczególnie na tę z „Timesa”. Moja pierwsza odpowiedź była przecząca, ponieważ zawierały one

I. Recenzja

skomplikowane wywody, z którymi nie zamierzałem polemizować. Odparł, że w „New York Timesie” zarzucono mi brak warsztatu naukowego. To prawda — odpowiedziałem — w pewnym sensie uznano, że moje badania pozostawiają wiele do życzenia, ale mimo to nie chciałem odpowiadać na piśmie.

Recenzenta „New York Timesa” znałem osobiście. Zaprosił mnie kiedyś, bym wygłosił wykład na jego uniwersytecie. Wypowiadał się też z najwyższym uznaniem o drugim wydaniu mojej obszernej książki *The Destruction of the European Jews* na łamach londyńskiego „Times Literary Supplement”. Teraz nie tylko odrzucał moje nowe studium, lecz także zrewidował swoje poglądy na temat drugiego wydania mojej monografii. W swojej recenzji dokonał przeglądu całego mojego życia, poczynając od pierwszego wydania *Destruction*, które ukazało się ponad trzydzieści lat wcześniej. Chwalił tam to wydanie, pytając dobitnie: „Co się robi po ukończeniu takiego dzieła?”. Wyjaśniał, że do emerytury wykładałem nauki polityczne na Uniwersytecie Vermont; wywierałem wpływ na młodsze pokolenie jako mentor i przewodnik. Gdy w 1985 r. ukazało się drugie wydanie *Destruction*, recenzenci chwalili moje „pierwsze dzieło”, ale niektórzy byli „rozczarowani” nową wersją. Wreszcie w mojej najnowszej książce — *Perpetrators, Victims, Bystanders*^{**}, zachowałem dystans wo-

* Wydanie polskie: Raul Hilberg, *Zagłada Żydów europejskich*, tłum. Jerzy Giebułtowski, Warszawa: wyd. Piotr Stefaniuk, 2012. Pierwsze wydanie tej książki ukazało się w 1961 r. Wydanie uzupełnione i poprawione opublikowano w 1985 r. Edycja polska oparta jest na wydaniu trzecim z 2003 r., z uzupełnieniami i poprawkami dokonanymi przez autora w ostatnich latach życia (wszystkie przypisy od tłumacza).

** Wydanie oryginalne: *Perpetrators, Victims, Bystanders: The Jewish Catastrophe, 1933–1945*, New York: HarperCollins, 1992; wydanie polskie:

I. Recenzja

bec młodszych badaczy, którzy opublikowali nowe prace, oparte na nieznanym dotychczas dokumentach, i podnieśli nowe kwestie. Ja sam zaś — jak to ujął w ostatnim zdaniu — stałem się „nie tyle prekursorem, ile sumieniem”.

Całe życie pragnąłem prawdy o samym sobie. Teraz miałem przed oczyma ocenę człowieka, którego nie można było uznać za ignorantę i który nie życzył mi źle. A co jeśli to on miał rację? Podjąwszy się zadania, jakie sam sobie wyznaczyłem w wieku dwudziestu dwóch lat, pracowałem sam, starając się uporać z ogromem tematyki, która w naszych czasach stała się synonimem zagłady. Zanurzałem się w tej historii, coraz bardziej wgłębiając się w dokumenty administracji niemieckiej epoki nazistowskiej, próbując sięgnąć samego dna. Gdy miałem trzydzieści pięć lat, ukazały się drukiem moje pierwsze słowa na ten temat. Cóż takiego zrobiłem przez ostatnie trzydzieści jeden lat? Co się ze mną stało?

Pokazałem recenzję mojemu staremu przyjacielowi Ericowi Marderowi. Nie jest tak źle — powiedział — zważywszy na pochlebne zdania w części dotyczącej twoich wcześniejszych dokonań. Poprosiłem, by przeczytał recenzję jeszcze raz, zapewniając go, że sam uświadomiłem sobie w pełni jej wymowę, dopiero gdy przeczytałem ją po raz piąty. Zadzwoił do mnie, przeczytawszy recenzję pięć razy. Przyznał, że nie jest zbyt przychylna, ale jego zdaniem prawdziwe pytanie brzmiało: Dlaczego miałbym przyjmować przesłanki rozumowania recenzenta? Dlaczego miałbym zgadzać się z tymi wnioskami? W odpowiedzi przytoczyłem argument, że przede wszystkim

Sprawcy, ofiary, świadkowie. Zagłada Żydów 1933–1945, tłum. Jerzy Giebułtowski, Warszawa: Centrum Badań nad Zagładą Żydów i Wydawnictwo Cyklady, 2007.

I. Recenzja

powiniennem zachować trzeźwy ogląd. Nigdy nie próbowałem oszukiwać sam siebie, a teraz prawda była dla mnie szczególnie ważna. Być może mój potencjał twórczy wyczerpał się trzydzieści lat temu. Wydawać by się mogło, że od tamtej pory jedynie wegetowałem.

A jednak nie miałem całkowitej pewności. Ukończywszy nową książkę, w której skupiłem się bardziej na ludziach niż na zdarzeniach, wysłałem ją bez obiekcji do Theron Rainesa. W wydawnictwie HarperCollins Aaron Asher przeczytał maszynopis i przyjął go bez zastrzeżeń. Było jeszcze wcześniej. Książkę właśnie rozwożono do księgarń. A może należało poczekać? Wprawdzie przypisy przeniesiono na koniec książki, ale nie zrezygnowano z nich i ktoś z pewnością zwróciłby uwagę na różnorodność wykorzystywanych przeze mnie źródeł. Jeśli zaś — jak sugerował Eric i jak uważał mój syn — książka ta jest zbyt subtelna, jakiś inny recenzent mógłby mimo to odkryć jej misterną konstrukcję. Co się tyczy sprzedaży, większe księgarnie mogły zgromadzić więcej egzemplarzy dla klientów przechadzających się między półkami.

W niedzielny poranek 20 września wsiadłem do samolotu lecącego do Bostonu. Wylądowałem jeszcze przed południem. Kupiłem gazetę „Boston Globe”, w której kiedyś zamieściłem recenzję jakiejś książki, ale nie znalazłem w niej żadnej wzmianki. Poszedłem do dużej księgarni Barnes & Noble — jedynej otwartej przed południem, ale książki w niej nie było. W polityce amerykańskiej przychodzi co jakiś czas wieczór wyborczy, kiedy to kandydat walczący o przeżycie czeka na wynik w kluczowym okręgu wyborczym, ponieważ niekorzystne dane z niego oznaczają całkowitą klęskę. Dla mnie takim testem był Boston.

Wróciłem na lunch do hotelu, do sali położonej nad restauracją The Last Hurrah. Posiłek okazał się zaskakująco

I. Recenzja

smaczny, a gitarzysta, którego gra wypełniała salę, był wręcz doskonały. Słuchałem jego mistrzowskiego wykonania *Recuerdos de la Alhambra* Francisca Tárregi. Nagle ogarnął mnie nieopisany smutek. A więc to koniec, naprawdę koniec, bez względu na to, co się wydarzy. W owej chwili byłem sam na sam ze sobą, żegnając się z życiem.

II

Początki

Korzenie

Kiedyś ojciec powiedział mi, że jeszcze zanim się urodziłem, byłem tak niesforny, iż matka miała z tego powodu problemy. W szpitalu położnik zapytał go, na co by się zdecydował, gdyby trzeba było wybrać między życiem matki a życiem dziecka. Zwierzył mi się, że podjął wtedy decyzję zupełnie niezgodną z naukami mędrców, ale z jego punktu widzenia konieczną. Gdyby musiał wybierać — oznajmił lekarzowi — chciałby, by ratowano moje życie. Wyjawiał mi ten sekret, gdy byłem jeszcze chłopcem, podczas jednej z rozmów o jego dzieciństwie i młodości, pracy i służbie wojskowej. Jego relacja zrobiła na mnie wrażenie, a zawsze uważałem ojca za człowieka mądrego i rozważnego. Dla mnie był przewodnikiem, od którego próbowałem — nie zawsze z powodzeniem — czerpać idee, postawy i styl.

Mój ojciec, który wiele doświadczył i wiele wycierpiał, był zupełnie inny niż matka, która przeżyła moje narodziny. Trudno o ojcu i matce mówić w jednym akapicie czy na tej samej stronie, przeto opowiem o każdym z nich z osobna.

Ojciec urodził się 15 września 1889 r. — jak wspomniał — w pozbawionej bitej drogi wsi na północno-wschodnim krańcu cesarstwa austro-węgierskiego: w Dżurynie. Znacznie później odnalazłem to miejsce, obecnie położone w zachodniej części Ukrainy. Miejscowość tę łatwo zlokalizować na dobrej mapie. Obecnie jest to miasto, znacznie

II. Początki

większe, niż się spodziewałem. Hilbergowie — według mego ojca — przybyli do Dżuryrna z Bawarii w 1648 r., ale informacji tej nie sprawdzałem. Jeden z Hilbergów — być może mój kuzyn ze strony ojca — był przed I wojną światową rektorem uniwersytetu w Czerniowcach (niem. Czernowitz/Tschernowitz, rum. Cernăuți). Biorąc pod uwagę niezwykle skromne warunki, w jakich żyła moja rodzina ze strony ojca, zawsze uważałem opowieść o karierze jednego z Hilbergów za apokryf, gdy jednak szukałem w katalogu biblioteki South Methodist University kart z tytułami moich prac, okazało się, że ów Hilberg z Czerniowiec istniał naprawdę i napisał kilka książek o starożytnej metryce greckiej. Od tamtej pory postanowiłem więcej nie podawać w wątpliwość tego, co mówił mi ojciec.

Ojciec wyjechał z Dżuryrna wkrótce po ukończeniu szkoły w wieku około czternastu lat. W Europie jeszcze panował pokój, optymizm, można też było dokonywać wyborów, licząc na poprawę standardów życia. Opowiadał mi, że zanim osiadł w Wiedniu, przebywał w Berlinie i Zurychu. Jako że byłem jeszcze bardzo młody, nie przyszło mi do głowy, by zapytać go, czy podróż sfinansowali rodzice. Z pewnością byli bardzo ubodzy, ponieważ nigdy nie mówił mi o tym, czym zajmował się dziadek. Znam jedynie opowieść o ucieczce dziadka przed nadciągającą armią rosyjską podczas I wojny światowej i o tym, że zmarł w czasie tej wojny jako uchodźca.

Ojciec był jednym z dziesięciorga dzieci, ale przy życiu została jedna siostra i trzech braci, co było typowym zjawiskiem przy wysokiej śmiertelności niemowląt. Najstarszy brat i jedyna siostra mieszkali w Nowym Jorku i nadal żyli w ubóstwie. Młodszy brat Josef podążył za ojcem do Wiednia. Ojciec zajmował się Josefem, a po jego śmierci — pamięcią o nim. Josef nie pozostawił po sobie śladu. Od

chwili przyjazdu do Wiednia pozostawał na utrzymaniu mojego ojca. Podczas I wojny światowej symulował chorobę nogi i przez cztery lata jej trwania stale kulał. Udawał tak doskonale, że po klęsce Austrii z trudem nauczył się chodzić normalnie. Był bezdzietny, a malutkie mieszkanie, w którym mieszkał z żoną, nie nadawało się nawet na przyjęcie jednego gościa, choćby na chwilę. Nigdy nie lubiłem tam chodzić, bo musiałem stać pośrodku salonu, który służył również za sypialnię, i wysłuchiwać narzekania o koszarnej sytuacji gospodarczej i jego niekończących się trudnościach. Gdy Wiedeń znalazł się w Rzeszy Niemieckiej, Josef nielegalnie przekroczył granicę belgijską i uciekł ponownie w 1940 r., po czym został internowany w obozie francuskiego reżimu Vichy wraz z innymi bezpaństwowcami — rozbitkami takimi jak on sam i jego żona. Mój ojciec, mieszkający już w Nowym Jorku, dostawał od Josefa gorączkowe prośby o pomoc, ale nie miał pieniędzy na bilety, które umożliwiłyby Josefowi ucieczkę do Ameryki. W 1942 r., gdy rozpoczęły się deportacje ze strefy Vichy, Josef zniknął. „Krew brata mego ciąży na mnie” — powiedział wtedy mój ojciec. Powtórzył te słowa wiele lat później, co miało oznaczać, że to, iż nie zapłacił za kabinę na statku, było jego największym grzechem, nie do odkupienia. W 1978 r. szukałem Josefa w spisie deportowanych z Francji. Josef Hilberg w nim nie figurował. Do jakiego stopnia człowiek może stać się „niewidzialny”? Wtedy przypomniałem sobie, że moi dziadkowie zawarli ślub religijny i jeśli Josef nie podjął urzędowych starań o zmianę nazwiska, w jego dokumentach widniałoby nazwisko panięńskie mojej babki — Gaber. Choć osoby zajmujące się po wojnie we Francji transkrypcją spisów deportowanych mogły mieć trudności z odczytaniem niektórych oryginalnych zapisów, udało mi się znaleźć Gabera Josefa,

II. Początki

urodzonego 23 października 1893 r. w „Dzwynen”. Został deportowany 14 sierpnia 1942 r. Ponieważ miał już czterdzieści osiem lat, prawdopodobnie zagazowano go natychmiast.

W przeciwieństwie do Josefa mój stryj Jakob walczył w I wojnie światowej. Służył w artylerii i strzelał z dział wielkiego kalibru, wspierając wojska niemieckie na froncie zachodnim. Mimo że nie był ranny, wrócił z wojny na wpół głuchy. Nigdy więcej nie wyjechał z Polski, nigdy nie spotkałem ani jego, ani jego żony czy dzieci. Zakładam, że Niemcy okupujący Polskę podczas II wojny światowej odwdzięczyli się mu, zabijając go wraz z rodziną.

Wszystko, co wiem o babce ze strony ojca, pochodzi od niego, a wszystko, co mi o niej powiedział, wiązało się z jej skrajnie pacyfistycznymi poglądami. Gdy wypisano go ze szpitala polowego i odwiedził ją po wojnie w Dżurynie, spaliła jego mundury i dokumenty, a order wyzuciła na śmietnik. Oszczędziła jedynie pogniecioną fotografię, na której został uwieczniony w mundurze sierżanta armii Austro-Węgier. W 1942 r., mając osiemdziesiąt kilka lat, niewidoma, niemal cały czas leżała w łóżku. Prawdopodobnie tu ją zastali niemieccy najeźdźcy i zastrzelili na miejscu.

Nie dziwi mnie, że kobieta mająca dwóch synów na froncie stała się zwolenniczką pacyfizmu. Nie potrafiłem natomiast zrozumieć tego, że mój ojciec nazywał siebie pacyfistą. Wojna nie wygląda tak, jak opisują to szowiniści i romantycy. W okopach spędził dwadzieścia sześć miesięcy — dwadzieścia dwa na froncie rosyjskim, a po tym jak został ranny w szyję, cztery kolejne na froncie włoskim, gdzie pocisk złamał mu kość goleniową i ojciec znalazł się w szpitalu z gangreną. Tu wtrąciłem, że przecież został również odznaczony. Jego srebrny order — jak się